

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

JEONG YOU JEONG



SIEDEM LAT

Jak daleko się posuniesz, by utrzymać kontrolę?

CIEMNOŚCI

7년의 밤

MOVA

JEONG YOU JEONG
정유정

SIEDEM LAT CIEMNOŚCI

7년의 밤

PRZEKŁAD Z JĘZYKA KOREAŃSKIEGO
Anna Diniejko, Łukasz Janik



TYTUŁ ORYGINAŁU:

7 년의 밤 (ang. *Seven Years of Darkness*)

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie na okładce: © Rekha Garton / Trevillion Images

DTP: Maciej Grycz

Seven Years of Darkness

Copyright © 2011 by You-jeong Jeong

All rights reserved.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova

an imprint of Wydawnictwo Kobiecte Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Anna Diniejko, Łukasz Janik, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2022

ISBN 978-83-67137-04-1

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



SPIS TREŚCI

Prolog	• 7
Wioska z Latarnią	• 11
Jezioro Seryong I	• 47
Jezioro Seryong II	• 113
Prawo Martini	• 211
Jezioro Seryong III	• 233
Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy	• 325
Epilog	• 371
Od autorki	• 377

Czarny van podjechał pod aptekę. Po chwili wysiadł z niego kierowca – mężczyzna w przeciwsłonecznych ray-banach. Właśnie miałem jeść swój ramyon, kiedy wszedł do środka. Była trzecia po południu, dopiero co skończyłem sprzątać i zabierałem się do spóźnionego obiadu. Nie mogłem jednak zignorować klienta.

– Hej, młody, mam pytanie – powiedział, zdejmując ray-bany.

Jego wzrok spoczął na moich krótko przyciętych włosach. Jakby pytał, ile mam lat. Przez głowę przemknęła mi myśl: nie mów tak do mnie. Niechętnie odłożyłem pałeczki. Niech pyta i spada.

– Którędy do Wioski z Latarnią? Nie widzę żadnych drogowskazów – mówił, trzymając okulary w dłoni i wskazując nimi na skrzyżowanie.

Mój wzrok zatrzymał się na jego samochodzie. Duży, rzucający się w oczy, chyba chevrolet.

– Hej! Słyszysz, co mówię? – niecierpliwił się.

Nawet właściciel apteki zwracał się do mnie z większym szacunkiem. Facet naprawdę zaczynał mnie wkurzać, a ponieważ mojego szefa akurat nie było, odezwałem się tylko pytaniem:

– Nie ma pan nawigacji?

– Nawigacja nic nie pokazuje, dlatego pytam.

Postanowiłem, że dostanie dokładnie to, na co zasłużył.

– Skoro nawigacja nic nie pokazuje, to co chce pan usłyszeć w aptece? – zapytałem.

Czarny van niķł w oddali, gdy pojechał prosto przez skrzyżowanie, a ja usiadłem do mojego ramyonu. Nawigacja nie pokazywała niczego takiego jak Wioska z Latarnią, bo ta wieś oficjalnie nazywała się Shinsong. Źeby tam dojechać, na skrzyżowaniu przy aptece trzeba skręcić w lewo, a nie jechać prosto jak ten koleś. Wiedziałem to wszystko, bo sam mieszkalem w Wiosce z Latarnią.

Nie było jej na żadnej mapie, zupełnie jakby kartografowie uznali, że nie jest warta jakiegokolwiek wzmianki. Pan Ahn powtórzał, że to najmniejsza osada na półwyspie Hwawon, mój szef, właściciel apteki, mówił, że to odludne miejsce, gdzie nikomu nie jest po drodze, a przewodniczący wioskowego klubu młodzieżowego nazywał ją końcem świata. To prawda, że nie było łatwo się tam dostać, należało jechać jakieś piętnaście kilometrów wzdłuż wybrzeża przez zupełnie niezamieszkaną okolicę. Latarnia morska, od której wioska wzięła nieoficjalną nazwę, stała na końcu postrzępionego, podłużnego klifu, który wcinał się w usiane skałami morze. Od strony lądu osadę otaczały wysokie góry.

Wybrałem się raz na wycieczkę po tych szczytach z panem Ahnem. Z wysokości można było oglądać wszystko, co znajdowało się po drugiej stronie – rozległe jak morze pustkowie, na którym nie rosło ani jedno drzewo. Jakaś rządowa agencja wykupiła ten teren pod kompleks turystyczny, jednak nic tam nigdy nie powstało. Słyszałem raz, że dawniej rosło tam sorgo. Daleko na horyzoncie widać było kolejną wieś. To właśnie dzieciaki stamtąd przezwwały nas „Wioską z Latarnią” – i tak już zostało.

Dni naszej wioski wydawały się policzone. Miała już tylko dwunastu mieszkańców, łącznie ze mną i z panem Ahnem. Nazywali nas „młodymi”, bo pozostali mieli średnio po siedemdziesiąt lat. Większość zajmowała się uprawą batatów. Mimo że mieszkaliśmy nad samym morzem, nikt już nie miał siły na łowienie ryb.

Czasem próbowali namówić nas, „młodych”, żeby coś im złapać. Ostatnia osoba urodzona w wiosce miała sześćdziesiąt jeden lat, był to przewodniczący tutejszego klubu młodzieżowego. Posiadał jedyną w okolicy motorówkę i to u niego wynajmowaliśmy pokój. Udostępniał też pokoje miłośnikom nurkowania, którzy przyjeżdżali eksplorować podwodne skały. Właśnie z tego powodu pan Ahn i ja znaleźliśmy się tutaj po raz pierwszy, jeszcze zanim postanowiliśmy zostać na stałe. Może te atrakcje ściągnęły też Ray-Bana, choć miałem cichą nadzieję, że jednak nie.

Około siódmej wieczorem wrócił mój szef i otworzył sejf, co było dla mnie sygnałem, że mogę już iść do domu. W tajemnicy przed nim wrzuciłem do plecaka saszetkę ziołowego leku. Była Wigilia Bożego Narodzenia.

Pan Ahn miał trzydzieści dziewięć lat i zaczynał powoli łysieć, a w jego brwiach sterczały pojedyncze siwe włosy. Coraz gorzej szło mu w naszych codziennych zawodach. Wyglądały one zawsze tak samo: wypłyaliśmy łódką przewodniczącego klubu młodzieżowego w pobliże skalistej wysepki niedaleko od brzegu. Po rzuceniu kotwicy robiliśmy rundę wpraw wokół wysepki, potem napełnialiśmy nasze torby zachwami, małżami i strzykwami, a później graliśmy w koszykówkę przy metalowej obręczy, którą kiedyś przyczepiliśmy do pnia sosny. Wygrywał ten, kto pierwszy wrzucił pięć koszy. Pan Ahn przegrał dziewięć z ostatnich dziesięciu meczów, a w zeszłym tygodniu nadwodził sobie mięsień w szyi. Od tamtej pory bez przerwy narzekał, że jakiś „gnojek” popchnął go ręką w głowę w czasie gry.

– To ja się zbieram! – wykrzyknąłem i wskoczyłem na rower.

Przejechałem przez skrzyżowanie i jechałem dalej szosą wijącą się wzdłuż wybrzeża, nie siadając na siodełku, żeby pedałować mocniej. Gwiazdy oświetlały mi drogę, a ich odbicia migotały na powierzchni morza. Fale uderzały o skalisty brzeg, nade mną

przeleciała bezszelestnie srebrna mewa, która pojawiła się nagle znikąd. Mimo niewidocznego księżycyca, było całkiem jasno. Morze w blasku gwiazd wyglądało słodko jak śpiące dziecko. Ostry wiatr uderzał mnie w twarz, przez co do domu dojechałem z poczuciem, że zdążył przeniknąć mnie na wskroś.

Pod domem w jednej linii stały fioletowy bongo pana Ahna i czarny chevrolet. Postawiłem rower między nimi. Głos pana Ahna docierał do mnie z drugiej strony budynku. Brzmiał, jakby był bardzo poirytowany.

– Prądy są tutaj silne i nieprzewidywalne – mówił – a morskie dno to istny labirynt. Jest noc, a do tego widzę, że piliście...

– Facet, posłuchaj – przerwał mu ktoś. – Nie musisz nam mówić, co jest dla nas dobre.

Ton głosu pana Ahna w tym momencie się zmienił.

– Rozsądniej będzie, jak zanurkujecie pod kołdry zamiast w morzu.

Popchnąłem furtkę, wszedłem na podwórko i zobaczyłem grupkę ludzi toczących spór – Drużynę Chevroleta uzbrojoną w ekwipunek do nurkowania w starciu z panem Ahnem w kłapkach i podkoszulku z przewodniczącym klubu młodzieżowego u boku. Pan Ahn był w połowie nieprzytomny, widać było, że wyrwali go ze snu.

– To nie my się już zdążyliśmy ubrać w pizamy – usłyszał w odpowiedzi.

Człowiekiem, który najgłośniejszy dyskutował, był nie kto inny jak Ray-Ban.

– Nurkowałeś w ogóle kiedyś nocą? – rzucił w stronę pana Ahna z bezczelnym uśmiechem. – Wiesz, jak się robi *heading*? – pytał dalej tym samym tonem.

Trzej jego kumple zaczęli chichotać. Jeden z nich usiadł na ziemi, podtrzymując policzki pięściami. Zastanawiałem się, czy na pewno tylko pili, czy może jeszcze coś wzięli.

Pan Ahn splótł ramiona przed sobą i spojrział w ziemię.

– Z takim liderem aż się prosicie o wypadek – powiedział do nich.

– Ze wścibskich nosów często leci krew – ostrzegł go Ray-Ban, dotykając kciukiem czubka swojego nosa, a jego towarzysze znowu wybuchnęli śmiechem.

Pan Ahn wpatrywał się w Ray-Bana, przygryzając policzki; sprawiał wrażenie, jakby przeliczał coś w myślach. Pewnie się zastanawiał, czy opłaca się stłuc tego gościa stojącego przed nim. Moje obliczenia były jednoznaczne: czterech na dwóch.

Przewodniczący klubu młodzieżowego odezwał się, chcąc załagodzić sytuację:

– Chodzi tylko o to, żeby nie doszło do nieszczęścia – tłumaczył. – Rozmawiacie z najlepszym specjalistą w okolicy, on naprawdę wie, co mówi. W normalny dzień nie byłoby problemu, ale dzisiaj, poważnie, dajcie już spokój.

– Pies was trącał. – Ray-Ban rzucił swój ekwipunek na ziemię, po czym wskazał palcem na przewodniczącego klubu młodzieżowego. – Umowa ma dwie strony. Strona A wpłaciła pieniądze, więc strona B wyciąga łódkę. Jasne?

Lekkim kopnięciem zamknąłem furtkę. Trzeba było jakoś rozładować tę sytuację, żeby pan Ahn mógł wrócić do pokoju.

– No patrzcie! A kiedyś ty wrócił? – Przewodniczący dopiero teraz spojrział w moją stronę, po nim zrobił to pan Ahn, a na końcu cała Drużyna Chevroleta.

– Hej, to ciebie dzisiaj widziałem! To nasz kolega z apteki – zawołał Ray-Ban.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć panu Ahnowi, Ray-Ban zapytał:

– Jak znalazłeś drogę do domu, skoro w aptece nic nie wiesz o tej wiosce?

Nie miałem zamiaru odpowiadać i zamiast tego poszedłem prosto w stronę naszego pokoju. Tego z największym oknem i widokiem na latarnię morską.

– Twój szef już wie? – mówił do mnie dalej Ray-Ban. – Że zatrudnia kretyna, który nawet nie ogarnia, gdzie mieszka? I co was w ogóle łączy? Dorosłego faceta w podkoszulku i młodego głupka? Nie wyglądacie na rodzinę. Spotykacie się tu wieczorami i ładujecie w tyłki? – Zaśmiał się, a po nim zachichotała reszta jego grupki.

Udawałem, że go nie słyszę, i szedłem w swoją stronę. Udało mi się przerwać ich dyskusję, ale nie miałem zamiaru dłużej znosić jego ryja.

– Proszę samemu zdecydować – zwrócił się pan Ahn do przewodniczącego. – Ja nie mam nic więcej do powiedzenia. – Odwrócił się od pozostałych i poszedł ze mną w stronę naszego pokoju.

Niezadowolony Drużyny Ray-Bana słyszeliśmy przez szczeliny w drzwiach, po czym dobiegł nas głos przewodniczącego, a zaraz potem dźwięk odpalanych silników. Wydawało się, że w końcu odpuścili – tak się jednak nie stało, przynajmniej na razie.

Kolesie od chevroleta zaczęli wydawać dziwne pohukiwania, nie wiadomo było, czy się głośno śmieją, czy udają małpy. Wtórowały im reflektory samochodu. Włączyli radio i ustawili jakąś kolędę.

„Suną sanie w białym śniegu, wsiądźmy i my, wsiądźmy i my...”

Zasunąłem zasłonkę, ale to był strzał w stopę. Tylko utwierdzili się w przekonaniu, że mają nad nami przewagę, i zaczęli uderzać w szybę. Całe okno się trzęsło, a oni walili w nie, śpiewając tę przeklętą piosenkę. Pan Ahn usiadł przy biurku, ja zdejmowałem skarpetki. Tamci po pięciu minutach dali spokój sobie i nam.

– Co tu się w ogóle działo? – zapytałem. Brzmiałem, jakbym dopiero co się obudził.

– Niby co? – Głos pana Ahna był równie niezwykajny. – Jacyś wariaci.

– Po co ich w ogóle wpuściliście?

– Nie można sobie pozwolić na wybrzydzenie, kiedy od prawie miesiąca nie było tu żadnych klientów.

– Nie musiał się pan wcale mieszać w tę dyskusję.

– Powiedziałem tylko, żeby najpierw wytrzeźwieli, a potem mogą wynająć łódkę – stwierdził i zamyślił się na chwilę. Gdy znowu się odezwał, zadał mi pytanie, choć tak naprawdę skierował je bardziej do siebie samego. – Nie powinni byli nas po prostu posłuchać? Dla nas to w końcu jeszcze dzieciaki.

Czy słoń tłumaczyłby się, że mrówka zablokowała mu drogę? Wyciągnąłem z plecaka lekarstwo zabrane z apteki.

– Po co to ciągle wykradasz? – ofuknął mnie pan Ahn. – Jak ci się po tym coś stanie, to ja będę mieć problemy!

– Jedyny efekt uboczny to bujne włosy – usprawiedliwiłem się. – Jeśli pan woli zostać z łysiną, to ja to będę brać.

Pan Ahn bez słowa wziął lekarstwo, a ja poszedłem umyć nogi.

Mówią, że koty wyczuwają nadchodzącą burzę, jeszcze zanim rozlegną się pierwsze grzmoty. Być może ludzki umysł ma podobny mechanizm, rodzaj lękowego alarmu, który odzywa się na krótko przed katastrofą. Tej nocy leżałem w naszym wspólnym pokoju i nie mogłem zasnąć. Myślami przeniosłem się do wspomnień sprzed siedmiu lat, do tamtego dnia, kiedy policjanci rozdzielili mnie i pana Ahna.

Po tym, jak mnie przesłuchali, zostałem przekazany rodzinie mojego wujka w Seulu. Ciało mamy skremowano, nie było nawet porządnego pogrzebu. W mojej nowej szkole dzieciaki wiedziały, kim jestem. Nie zdążyłem się nikomu przedstawić, a już huczały plotki o tym, że jestem synem psychopaty, który zamordował jedenastolatkę i jej ojca, utopił własną żonę, a na koniec

otworzył zaporę i zatopił wioskę Seryong, zabijając przy tym czterech policjantów.

Szykany nie ominęły też moich kuzynów chodzących do tej samej szkoły; wracali do domu we łzach. Wujek nie mógł już pracować jako fizjoterapeuta, niedługo potem właściciel mieszkania wypowiedział umowę najmu i musieliśmy przenieść się do mieszkania na Sanbonie, gdzie dostałem pokój na samym końcu korytarza, ale przynajmniej z własnym balkonem. Ciocia była ciągle w strachu, że nowi sąsiedzi się dowiedzą, iż u nich mieszkam. Kuzyni unikali mnie za wszelką cenę.

Wychodziłem z pokoju tylko, kiedy byłem pewien, że nikogo nie ma albo że wszyscy już śpią. Jeśli w kuchni było jakieś jedzenie, jadłem, w przeciwnym razie byłem głodny. Biegłem do toalety po całym dniu wstrzymywania i szedłem się umyć. To, że nadal miałem dwie nogi, ręce, oczy i duszę, utwierdzało mnie w przekonaniu, że wciąż jestem człowiekiem, że nie zamieniłem się w potwora.

W moim pokoju zwijałem się w kulkę koło okna i albo drzemałem, albo śniłem na jawie. Zastanawiałem się często, czy pan Ahn próbował się ze mną kontaktować. Tęskniłem za nim. Nawet jeśli próbował, nie mogłem wiedzieć. Telefon, który mi dał tamtego dnia, nie działał. Wujek roztrzaskał go o ścianę ze słowami, że jeśli chcę z nimi zostać, mam zakaz kontaktowania się z kimkolwiek z otoczenia taty.

Trzy miesiące później wysłali mnie do jednej ciotki, a po kolejnych trzech miesiącach do następnej. Wszędzie było tak samo. Zawsze znalazł się ktoś, kto mnie rozpoznał, nie mogłem dłużej chodzić do tej samej szkoły, mimo że z biegiem czasu pamięć o wydarzeniach nad jeziorem Seryong blakła.

Jedyną osobą w rodzinie, która była dla mnie dobra, okazała się ciocia Yongju, młodsza siostra mamy. Byłem u niej miesiąc

dłużej niż u kogokolwiek innego. Jednak po czterech miesiącach i ona odesłała mnie do swojego brata, ze łzami w oczach mówiąc: „Przepraszam, Sowon”. Pewnie mógłbym mieszkać u niej dłużej, gdyby nie jej mąż, który mnie nie znosił. Przychodził do domu pijany i wyżywał się na mnie, dostawało się też samej cioci, kiedy próbowała mnie bronić.

Podśluchałem, jak raz, kiedy się z nią kłócił, powiedział: „Patrzyłaś mu kiedyś w oczy? Ten gnojek nigdy nie płacze. Możesz na niego krzyczeć, możesz go bić – ani jednej łzy! Tylko się pusto gapi. Oszaleję od tego! Tak nie patrzy dziecko, tak patrzy psychopata! Nie chcę go tutaj!”.

Trzy miesiące później, w styczniowy poranek, wujek Giju wręczył mi dwa banknoty, akurat tyle, ile kosztuje bilet na metro.

– Wiesz, jak trafić do wujka Jongu, prawda? – zapytał i przeprosił, że nie może mnie sam podwieźć.

Pomyślałem, że wiem, i tylko pokiwałem głową. Wracałem do punktu wyjścia. Wujek Giju i jego rodzina przeprowadzali się tego dnia, ale nie chcieli mi powiedzieć dokąd. Na plecy zarzuciłem plecak z książkami, wziąłem walizkę z ubraniami, założyłem czapkę i wyszedłem. Zimny wiatr ciął w twarz, ulice były skute lodem, poprzedniej nocy napadało jeszcze świeżego śniegu. Marzyły mi ręce i czubek nosa, ale nie oglądałem się za siebie, nie chciałem nikogo błagać, żeby mnie przygarnął. Było mi już naprawdę obojętne, gdzie będę mieszkać. Pomyślałem wtedy znowu o panu Ahnie.

Dowiedziałem się później, że rodzina, wszyscy wujkowie i ciotki, podzieliła mój spadek między siebie jako zapłatę za koszty mojego utrzymania. Zabrali, co się dało: ubezpieczenie mamy, oszczędności, nawet nasze nowe mieszkanie. A i tak było im mało, żeby zająć się mną dłużej niż przez kilka miesięcy.

Zgubiłem się po drodze na Sanbon i dotarłem tam dopiero po pięciu godzinach. Kiedy nacisnąłem guzik na domofonie, odezwał

się nieznajomy kobiecy głos: „Kto tam?”. Zapytałem o wujka Jongu, ale usłyszałem, że nikt taki tu nie mieszka. Sprawdziłem numer klatki, bo może coś pomyliłem, potem numer bloku, ale wszystko się zgadzało. Wyglądało na to, że oni także się przeprowadzili. Pobiegłem do budki telefonicznej przy wejściu na osiedle, lecz wujek Jongu musiał najwyraźniej zmienić też numer telefonu. Wykręciłem do wujka Giju, lecz nie mogłem się dodzwonić ani na jego komórkę, ani na numer stacjonarny. Nie wiedziałem, co robić. Wujek Jongu wyprowadził się, zanim nadeszła jego kolej opieki nade mną... a mimo to wujek Giju i tak mnie do niego wysłał. Dzwoniłem po kolei do wszystkich ciotek – telefon za każdym razem milczał.

Śnieg dostawał się z wiatrem do budki przez szczeliny w drzwiach, miałem na sobie cienką kurteczkę i przykrótkie dżinsy, z których zdążyłem już wyrosnąć, przez co moje kostki były odsłonięte. Trampki też miałem za małe i stałem w nich jak w klapkach, przydeptując pięty. Byłem głodny, cały dzień nic nie jadłem. Miałem przy sobie już tylko drobną monetę.

Na mojej liście pozostał jeden numer, pod który jeszcze nie zadzwoniłem – ten, który pan Ahn dał mi siedem lat wcześniej. Nie było jednak żadnego sensu pod niego dzwonić, bo telefon pana Ahna z kartą SIM wujek roztrzaskał kiedyś o ścianę. Ale nie miałem nic do stracenia. Wystukiwałem cyfry z cichą nadzieją, że może pan Ahn kupił nowy telefon i zachował stary numer.

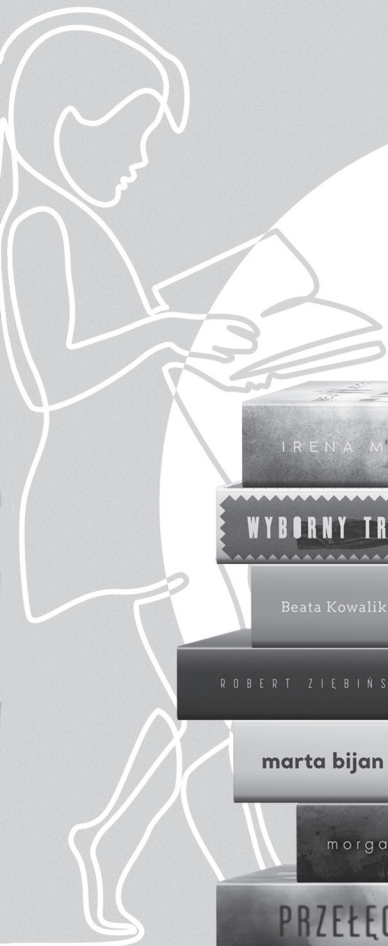
Był sygnał, czekałem więc. W końcu ktoś odebrał i po drugiej stronie odezwał się spokojny, wyraźny głos.

– Halo? – usłyszałem. To był on! Wiedziałem od razu, jak mógłbym kiedykolwiek zapomnieć? Gardło miałem ściśnięte i nie mogłem odpowiedzieć. – Halo? Kto dzwoni? – dopytywał.

– To ja – zebrałem się w końcu w sobie i udało mi się odezwać. – Pański współlokator.



HISTORIE WARTE OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!